

— Ach, to ty, dobrze! Ale po dyabła budzisz ludzi, którzy śpią spokojnie.

— La! la! la! Mój drogi, nie czas teraz na spanie, dopiero ósma godzina.

— Tak, mój stary, ale ja wróciłem do domu na niepewnych nogach. Sam tego możesz się domysleć — dodał, spostrzegając, że spał w ubraniu. — Popatrz tylko na mój kapelusz, wczoraj rano zapłaciłem za niego dwadzieścia pięć szylingów. Ale pić mi się chce, nie masz tam czego?

— Jestem zupełnie splukany — rzekł Barker, wyciągając podszewkę z kieszeni. Od ciebie chciałem właśnie wziąć trochę pieniędzy..., zwłaszcza, że mamy sprawę do załatwienia.

— Co za sprawę? Zdaje mi się, że nie jestem obecnie w stanie do zajmowania się sprawami. Wróciłem dopiero nad ranem zupełnie ścięty.

— Ależ to jest sprawa poważna. Tyczy się ona...

— Ach, dajże mi spokój. Idź lepiej na róg i przynieś co do picia. Kup dwie lub trzy butelki wina bordeaux. Oto ostatnie moje szylingi. Tymczasem ja się obmyję trochę i odświeżę. Wracaj tylko prędko.

— Za pięć minut będę z powrotem — zawołał wesóło Barker, biorąc pieniądze.

Pobiegł szybko po schodach i zanim Hollis zdolał się umyć, ukazał się już we drzwiach z dwoma butelkami pod pachą. Otworzył je pośpiesznie i siadając przy stole, zaczął pić z całej butelki, a za jego przykładem poszedł i Hollis, który w swym gospodarstwie nie miał ani jednej szklanki.

— A teraz powiedz, co masz nowego — odezwał się gospodarz pokoju, zapalając papierosa.

Zamiast odpowiedzi Barker wyciągnął z bocznej kieszeni marynarki skórzany portfel i wyjął z niego mały wycinek gazety.

— Tylko to — rzekł, podając mu papier. — Znalazłem to w dzienniku między ogłoszeniami. Czytaj.

Hollis wziął z kominka świecę, postawił ją przed sobą i zaczął czytać półgłosem:

„Ryszard Alliston, urzędnik konsulatn Jego Królewskiej Mości w Peru, zmarł obecnie w Greenleafhurst. Przyjaciele zmarłego przebywający w Anglii, proszeni są o zgłoszenie się do podpisanego: John Hammerton, Granville Hotel, Londyn“.

Hollis po przeczytaniu zamyslił się przez chwilę, potem rzekł:

— I cóż z tego? Cóż to za jakiś John?

— Ani się nie domyślam. Lecz co masz zamiar uczynić?

— Najlepiej iść do tego Johna. Zdaje mi się, że mogę zaliczyć się do przyjaciół Allistona.

— Nawet do jego krewnych — dodał Barker z uśmiechem. — Czego on może chcieć?

— Nie wiem, ale przypuszczam, że mnie potrzebuje.

— To z pewnością z powodu tego Greenleaves, jakże się nazywa tamta dziura!

— Nie bardzo dziwiłbym się temu — rzekł niepewnie Hollis.

— Wiesz, że policja ogłosiła nagrodę dwieście funtów szterlingów.

— Tak, tylko oni za tanio chcą załatwić cały interes. Szkoda, że tak mało ofiarują, gdy ja żądam dwóch tysięcy funtów. Dziesięć tysięcy dolarów, to jest właśnie dwa tysiące funtów, czy tak?

— Zdaje mi się, zresztą ja nie umiem liczyć na ich szylingi i funty, wszystko to takie pokręcone. Ale co zamýślasz zrobić z tym jegomościem?

— Pójdę do niego, by przedewszystkiem dowiedzieć się, co on już wie. Zapewne będzie potrzebował szczegółów. Jeżeli zapłaci cenę, jaką mu poddyktuję, udzieli mi trochę wiadomości.

— Chyba jednak — zaczął Barker.

— No, już ja sprawy nie pokpię. Nie będę zabijał kury, co mi znosi złote jaja, możesz być pewny. Ten John chce się czegoś dowiedzieć i przypuszczam, że jest gotów do wyłożenia pewnej sumy, w każdym razie można poprobaować.

— A jeżeli to detektyw?

— Nie mam czego się obawiać, nie mnie poszu-

kuje. Może odkryję, czego on chce, a za to także dostanę ładną sumę, ale skądinąd; rozumiesz?

— Tak, tylko on może dowiedzieć się twego nazwiska...

— Gdy udam się do niego, będę się nazywał John Smith z Nowego Orleanu, obywatel republiki amerykańskiej; posłuchaj tylko, jak to ładnie brzmi: John Smith.

— A jak się okaże, że on ciebie widział już i teraz pozna?

— Mnie poznać! oj! ty stary! zakładałam się z tobą o dolara, że rodzona matka mnie nie pozna. Gdy tamten waryat się zenił miałem dopiero dwadzieścia lat i coś jeszcze; a teraz czterdziestka już minęła. Mój Boże, jak to czas leci!

— Ciekawym, czy odkryto co nowego w tej sprawie, czytałem pilnie dzienniki, lecz nie nie spostrzegłem.

— Myślę, że już wkrótce ją porzucą, chociaż jego synowi z Greenleafhurst nie spieszy się jakoś z zapomnieniem.

— A t.n... sprawca... co dokonał wszystkiego,

oczekiwał na rezultat swych poszukiwań. Interesy osobiste, dla których przybył do Londynu, załatwił już dość dawno, mimo to nie spieszył się z wyjazdem do Peru. Nie będąc bogatym, był jednak na tyle zamożnym, iż nie potrzebował pracować na życie: czasem swym mógi rozporządzać dowoli, to też obecnie poświęcił się wyjaśnieniu tajemnicy, jaka pokrywała zgon jego przyjaciela. Inny jeszcze wzgląd skłaniał go do przedłużenia w kraju swego pobytu: od samego początku sprawy był w codziennych stosunkach z policją, której potrzebna mogła być każdej chwili jego obecność dla stwierdzenia identyczności podejrzanych osób.

Jak daleko mógł sięgnąć wstecz pamięcią, nie znajdował nikogo, koby mógł być nieprzyjacielem zamordowanego urzędnika. Policja przypuszczała, że bandyta jaki, który z rozkazu Ryszarda Allistona musiał opuścić Peru, teraz skorzystał z przyjazdu jego i dokonał na nim swej okrutnej zemsty. Kim by ten nieznan zabójca był, policja liczyła na pomoc Hammertona w sprawdzeniu jego osobistości. Detektywi nie traciли nadziei, że prędzej czy później pochwyta go, zwłaszcza, iż uważali go za bardzo niezręcznego opryszka. Dokoła miejsca zbrodni rosły lasy, porośnięte głębokimi jaskiniami, w których zwłoki ofiary mogły leżeć długi czas nie odszukane. Zbrodniarz jednak nie zwrócił na to uwagi i na miejsce swego występu wybrał szopę, gdzie łatwo mógł być przychwycony na gorącym uczynku.

Policja jednak nie odkryła mu ani metody swego śledztwa ani też żadnych śladów, na jakie ono ją wprowadziło, Hammerton też postanowił próbować sam rozwiązać tę sprawę i w tym celu podał ogłoszenie do gazet.

Wiedział o tem, iż Ryszard wydalili z Limy nie jednego opryszka i oszusta, jakim udawało się nieraz wkręcić do tamtejszego towarzystwa angielskiego. Dawał im zawsze do wyboru dwie alternatywy, albo natychmiastowe opuszczenie miasta, albo też oddania ich w ręce policji. Zapewne jeden z tych wydalonych dowiedział się o wyjeździe Ryszarda z Peru i postanowił zemścić się. Musiał on zapewne znać stosunki domowa Allistona i wiedzieć, że udaje się do Greenleafhurst, a także znać okolicę, jeżeli szopę cygańską wybrał za miejsce swego niecnego czynu.

Siedząc w sali bilardowej hotelu i zastanawiając się nad pobudkami tej zbrodni, Hammerton został nagle wyrwany z swych myśli przez pojawienie się służącego, który oznajmił mu, że jakiś pan pragnie się widzieć z nim i podał mu kartę wizytową: John Smith Nowy Orlean.

Twarcz Hammertona rozjaśniła się na tę wiadomość: kazał wprowadzić gościa. Na progu stanął wkrótce wysoki, przystojny mężczyzna w średnim wieku, z krótko ostrzyżoną brodą; z pod trochę podniszczonego kapelusza wyglądała dobra twarz. Był to

Hollis z Carwood street, który dla zaspokojenia swej ciekawości przybrał nazwisko Smitha. Hammerton podniósł się natychmiast z fotelu i postąpił ku przybytemu.

— Pan John Smith? — zapytał.

— Tak, John Smith z Nowego Orleanu do usług pańskich — odparł Hollis, sciskając mocno podaną sobie dłoń.

— Proszę wybaczyć, że przyjmuję pana w sali bilardowej, lecz o tej porze nie ma tutaj nikogo i możemy swobodnie porozmawiać.

— Oh, nie nie szkodzi, bardzo luj wygodnie. Nawet jeżeli pan sobie życzy, możemy rozmawiając zagrać partję bilardu... Dwadzieścia pięć dolarów, chcę powiedzieć pięć funtów, partję. Przystaje pan?

Na ustach Hammertona ukazał się lekki uśmiech.

— Zauję bardzo, lecz nie umiem grać w bilard; przyznam się, iż nigdy nie miałem na to czasu. Czy mogę służyć panu cygarem?

— Dziękuję bardzo — odrzekł Hollis — biorąc jedno.

V.

Po ogłoszeniu w dziennikach o śmierci swego starego przyjaciela, Hammerton z niecierpliwością

(Ciąg dalszy nastąpi).

